

Artur Grabowski – „Komedia na temat tragedii”

teatrologia.info, 17 listopada 2022

link: <https://teatrologia.pl/recenzje/artur-grabowski-komedia-na-temat-tragedii/>

Chociaż porusza się tu tematy ważne, nawet drażliwe, w istocie uniwersalne, a ostatnio bardzo aktualne, to jednak upierałbym się przy tym, że mamy do czynienia z komedią. A to dlatego właśnie, że sprawa jest śmiertelnie poważna. Tak poważna, że nie sposób zrobić z niej teatru, żeby nie popaść w tragiczny patos. Ten zaś, czyż jest do zniesienia dla współczesnego widza? W szczególności tego w wieku poborowym? Tak, rzecz jest o wojnie.

O wojnie, na razie zagranicznej, ale przecież tym bardziej strasznej; jak straszniejszą jest groza stojąca za drzwiami, groza, na którą nie wiadomo jak odpowiedzieć, od grozy już obecnej, a więc oswojonej konieczną reakcją. W takich sytuacjach jest nam do śmiechu również dlatego, że to, co nie mieści się w ludzkim pojęciu, przekracza zarazem granice wysłowienia, wtedy popada... W cielesność? Dopada nas drżenie kolan i szczękościsk, dreszcze przechodzą nam po plecach, rozrzucamy ręce w nadekspresyjnych gestach, śmiejemy się głupkowato albo zbyt głośno, krzyczymy na siebie zamiast rozmawiać. W skrajnych przypadkach popadamy w szal lub w epilepsję. Bierzymy wówczas coś na uspokojenie... To może być głęboki wdech albo łagodna trawka, a potem w żyłę: koks, hera, amfa, LSD i jakiś kompot z grzybków na popitkę. Uspokaja też muzyka, najlepiej rytmiczna, bo ta potrafi fale mózgowe wyrównać i oderwać je od rzeczywistości. Muzyka również domaga się ruchu. Ciało giba się, faluje, głowa się kiwa, stopy sprężynują, kolana gną się. Taka ruchliwość, jeśli pokazać ją na scenie, jeśli się do niej zdystansować krytycznym spojrzeniem widza (od którego dzisiaj nie wymaga się przecież świadectwa lecz adoracji); taka niezdarna pantomima, taki balet niezborny, takie figury paniki... są nieuchronnie śmieszne – dla umysłu.

Komedia pacyfistyczna, ale na szczęście niejednoznaczna w swojej wymowie, prezentuje się jako rodzaj koncertu rockowego, permanentnego, bo jego uczestnicy (zarazem performerzy i publiczność) robią wszystko, żeby trwał całe życie, do skończenia świata, a nawet dłużej. Bóg przecież umarł, historia się skończyła, Nowa Era nurza się w nieskończonej plazmie wszechświata. A na koncercie, wiadomo, cała sala śpiewa z nami, tłum tańczy, kapela szarpie druty, z głośników wali tak, że rezonują już nie bębny w uszach, lecz serce w piersi. Ale to za chwilę, bo zaczyna się zwyczajnie. Wchodząc do ciasnej salki w podziemiach kamienicy na Kazimierzu, musimy przejść obok czerech chłopaków, gadających zrazu o grach komputerowych. Po chwili, jakby przerwali to zagadywanie problemu, potencjalni rekruci stawiają sobie wzajemnie pytania o udział w realnej wojnie. Dopiero pośród tych pytań sala wycisza się, teatralny pozór życia pierzcha, zaczyna się prawdziwe udawanie. Młodzi mężczyźni wyglądają na beztroskich, trochę znudzonych i zblazowanych. Ot, współcześni normalisi. Zaraz jednak okaże się, że nie dają sobie rady ze swoją

współczesnością, przeto szukają wzorca w przeszłości. I tak zaczyna się paniczna gra o sens życia, wchodzenie w role znane ze starych płyt, z filmu Hair, ze wspomnień staruszków. Muszą udawać, żeby prawda nie zmusiła ich do odpowiedzialności za przyszłość? W tej grze nie mamy wielu żyć, dlatego stawka jest wysoka; tak wysoka, że gra wymyka się spod kontroli. Młodzi milenialsi udają więc jawnie starych hipisów; są być może aktorami u progu kariery (przedstawienie dyplomowe AST w Krakowie), ale są też facetami w wieku poborowym... A wojna stoi za progiem. Czy możemy na nią zareagować tak, jak nasi dziadkowie (to już drugie pokolenie!) zareagowali na Wietnam?

No, jakoś nie bardzo. Właściwie nie wiadomo, dlaczego. Dlaczego tamte gesty i manifesty jawią nam się dzisiaj tak śmiesznymi? Dlaczego nie pasują do naszych czasów tamte słowa o wszechobejmującym pokoju, a znaczek powszechnej miłości, którą należy jakoby uprawiać zamiast wojny, zamienił się w gadżet dla turystów odwiedzających Kalifornię? Dlaczego taki Jim Morrison albo Jimmy Hendrix, w którego szczerość nie wątpiło żadne z dzieci-kwiatów, nagle stał się logo na koszulce produkowanej przez chińskich niewolników ekonomicznych? Dlaczego przejmująca niegdyś piosenka Imagine, wykonywana przez bladego okularnika, brzmi dzisiaj tak naiwnie, że staje się parodią własnego przesłania? Pytania takie twórcy spektaklu zdają się stawiać bynajmniej nie po to, żeby poddać krytycznej rewizji dokonania swoich przodków, lecz po to, żeby odkryć dla siebie wzorce postępowania w świecie, który ich tych wzorów pozbawił. To nie jest protest przeciw wojnie, to jest wołanie o sens życia w świecie deziluzji, że wojna należy do przeszłości. Pokolenie hipisów, pokolenie szczerych pacyfistów okazało się naiwne? Pomylili się w swoim rozpoznaniu natury ludzkiej? Czy może okłamali nas cynicznie? Prawdziwe pytania, jakie padają w tym spektaklu, nie dotyczą wojny prawdziwej, lecz wojny potencjalnej; a nawet więcej – dotyczą pewnego odkrycia, jakiego być może dokonało pokolenie, które wojny nie tylko nie zaznało, ale nawet w jej realność zdążyło zwątpić. Odkrycia, że ludzie są z natury do wojny skłonni. Tak jakby lęk i odraza nie dawały się odróżnić od nadziei i wiary.

Chłopaki dezerterują zanim zostaną powołani. Przebierają się więc nie w mundury, lecz w długowłose peruki i kolorowe ciuszki, chodzą na modne terapie holistycznego doświadczania wszechświata, dają sobie w żyłę i w gardło. Kiedy jednak trafią do armii, to zaraz lądują w psychiatryku albo spadają na dno egzystencji, w dół prywatnej traumy. Oglądamy czterech różnych, ale równych świrów. Jeden prostoduszny debil, drugi zmanierowany cynik, trzeci niedojrzały idiota, czwarty otępiały fanatyk. Wszyscy szczęśliwi jak wegańska wołowina, czyli zakłamani w trupa. Między nimi uwija się wesoły psychoterapeuta, rzucający złote myśli w nadziei, że sprzedadzą się w wysokim nakładzie. Ale oni wszyscy razem to aktorzy, młodzi absolwenci progresywnej akademii w europejskim mieście, wciąż cieszącym się pokojem i dobrobytem. Oni nie zapominają, że my na widowni jesteśmy w tej samej sytuacji, nie dają nam więc zapomnieć o swojej prawdziwej

fikcyjności. Ci faceci wiedzą, co się święci, więc póki co korzystają z możliwości, jakie stwarza iluzja i udawanie – teatr w swojej istocie. Spektakl studencki i zarazem repertuarowy przyznaje się do swojej sztuczności i w tym właśnie jest prawdziwy. Sprawa nie jest bowiem historyczna, nie opowiada o wydarzeniach sprzed dziesięcioleci. Jest aktualna, dotyczy tego pokolenia, które właśnie opuszcza szkoły...

Po raz kolejny oglądam w piwnicy zespołu Barakah opowieść o istocie teatralności, o nieoczywistych wybiegach i unikach, szansach i nadziejach teatru; tego dzisiejszego, świadomego swojej nieuchronnej sztuczności, swojego nieznośnego dystansu, swojej pokornej prawdy bycia medium. Po raz kolejny uczestniczę w wydarzeniu raczej niż w spektaklu, zostaję wciągnięty w muzyczny organizm, złożony z ciał i głosów, pozbawiony za to charakterów, a jedynie grający wcieleniami. Po raz kolejny ta forma staje się metaforą. Jakże adekwatną w tym przypadku! Bo przecież pięciu różnych chłopaków próbuje usilnie coś ograć na scenie, żeby coś wygrać w życiu. Nie wątpię, że chodzi im również o nich samych. O ich własne życie w normalności? Własne życie mimo normalności? Bo przecież oni doskonale wiedzą, że wojna jednocześnie daje im szansę na odzyskanie powagi w tym świecie wiecznej kpiny z życia i odbiera możliwość zachowania godności w tym świecie wiecznej pogardy dla życia. Ale zarazem wojna to przecież przeciwieństwo życia. Co potwierdzi szczerłość miłujących pokój? Czy udział w wojnie, czy odmowa udziału w niej? Proste rozwiązania były kiedyś, teraz trwa dylemat, który oddziela utopię od konieczności.

Scena jest w zasadzie pusta, ledwie kilka przezroczystych krzeseł, zamarkowane symbole szalonych lat sześćdziesiątych. Świat przedstawiony wyłania się z doraźnych aranżacji przestrzeni i z jawnego odwołania do kreatywnej wyobraźni widza wychowanego na popkulturowych kliszach. Tak chyba grał kiedyś The Globe, tak grała commedia dell'arte. Teatr współczesny, teatr postawangardowy, przeżywa kolejną fazę powrotu do źródeł. Tym razem wszakże nie archaicznych, lecz konwencjonalnych. Bo przecież teatr to udawanie życia. Czy dlatego, że życie bywa nieznośne albo nierozpoznane w swoim sensie i celowości? Mało tego, teatralność czerpie swoją dramaturgię z życia właśnie, bo przecież życie to poszukiwanie scenariuszy na wypełnienie czasu czynami. Gesty i miny mogą życie zastąpić jego parodią, ale są też, ni mniej ni więcej, tylko realnym treningiem przed chwilą próby. Ich aktorskie parodie to manewry przed zbliżającą się konfrontacją z życiem. Chłopaki naprawdę chyba boją się iść do woja, boją się cierpienia, nie chcą umierać, chcą czerpać z tego, co daje im normalność, nawet jeśli ta jest skutkiem odrażająco mieszczańskiego dążenia do komfortu. Żeby nie być tu i teraz, chłopaki udają chłopaków z tamtych lat, ale raz po raz natykają się na własny fałsz, potykają się o własne udawanie. To sam teatr staje im na przeszkodzie? Czy może to, że znają świat swoich dziadków w postaci zmytyzowanej przez filmy, płyty, książki? A tu rzeczywistość skrzeczy. A właściwie wali pociskami – w granicę iluzji.

Pozostaje nam uczciwie przyznać się do tego, że na razie gramy, żeby jakoś przeżyć ten czas niepewności, ale wiemy już na pewno, że inni żyją tym, co ich zabija.

Lęk maskuje się euforią. Nie masz więc końca piosenkom i pługom. Nie ma końca odgrywaniu hipisowskich tumultów i wojaży przez Amerykę, udziału w modnych terapiach gwiazdorskich doktorków, koncertowaniu z kapelami na polach Woodstock. Młodzi aktorzy udają zaiste spontanicznie, bez blagi, z pełnym zaangażowaniem w niepoważną autoparodię. Naprawdę wciąga, budzi sympatię ten styl aktorskiego rzemiosła, które ma chyba podstawy w autentycznym przejęciu się sprawami, o których mówi spektakl. Jeżeli dziadek Grotowski wymagał od każdego ze swoich poddanych sięgnięcia do trzewi, to egalitarny ansambl jego wnuków obywateli się bez patrona, bo nie wystawia się na widok publiczny ze swoimi wnętrznościami, ale podaje je w bezpiecznych ramach cudzysłowu. Śmiech na sali podczas parodii koncertu brzmi więc nie mniej szczerze niż palpitacje podczas udawanych rytuałów. Teatr opowiada dzisiaj swoją teatralność jako niewiarę w prawdziwość tego, co znamy jako narracje, a w co chcielibyśmy wierzyć jak w historię. Komedie na temat tragedii? Szczerze udawanie realnego? Idźcie się pośmiać, wyjdziecie spustoszeni.